Ner 4. Kraków, 27go Stycznia. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

WIARA I NARODOWOŚĆ,

przez

J. dra RYMARKIEWICZA,

Inspektora gimnazyum katolickiego w Poznaniu.

(*Dokończenie*).

Nastały wieki nowe, w tem właśnie od średnich różne, iż wskróś i prawie wyłącznie były świeckie, tak jak średnie wieki całkiem były duchowne. Zdawaćby się mogło, iż tu, w tak światowych stosunkach, narodowość z wiarą powinna była uczynić rozbrat. Ale nie, i tu związek ich, chociaż mniej widoczny, nie jest dla tego mniej rzeczywistym. I tu pobudki wiary główną do wszystkich spraw świata były podnietą, jako tajne sprężyny wszelkiego nowoczesnego ruchu aż do pokoju westfalskiego, wraz z jego następstwy. Wspomniemy tu tylko dwa ówczesne względy wiary, oznaczające się na onczas mianem reformacyi i jezuityzmu. Wszakże z tych dwóch głównych obozów wynikały wszystkie wojny, wszystkie traktaty, wszystkie stosunki i pakta ówczesne między narodami, między królami; wszystkie polityczne rachuby i względy, które w końcu do tak zwanej równowagi europejskiej sprowadzono. Jeszcze więcej świeckiemi zdają się być czasy następne, t. j. do rewolucyi francuskiej. Kiedy z początkiem tak zwanych nowych wieków narody poczęści wyszły z pod bezpośredniej ojcowskiej opieki kościoła, a oddały się pod wpływ świeckiej potęgi, natenczas nowy ten świecki marsz w przyszłość, pod tarczą władzy, wkrótce im się uprzykrzył: bo nie był ich własnowolnym postępem, nie był postępem wedle ich właściwości, wedle prawa, które ich własnej przyrody rzeczywistym byłoby odblaskiem! Zaczęły więc z kolei i ten świecki wpływ ze siebie zrzucać; zaczęły zbywać się wszelkiej nie z nich pochodzącej władzy, i już zdawało się światu, że rozpasane na wszelkie namiętności, w niewstrzymanym pędzie po niebezpiecznych bezdrożach, do własnej zdążą zguby; zdawało się, że jak z kościelnej i królewskiej, tak w zapomnieniu bezdennem gotowe nawet wyzuć się z opieki Boga samego, i nieuznawać Opatrzności, która losami narodów kieruje! — Tymczasem minęła szczęśliwie ta chwila przesilenia. Im głębiej bowiem, czy to człowiek, czy naród, do czeluści wnętrza swojego stępuje, im bardziej w duchową istotę swoją się zatapia, tem silniej zaiste czuje wszech-przytomność bożą, tem jawniejsze go owłada przekonanie, że przykazanie Boże, a duchowa istota jego, jedno jest; tem jaśniej widzi, że rozwinięcie tejże istoty, właśnie jest spełnieniem jej przeznaczenia boskiego, że rdzeń istoty narodowej, czyli, że narodowość sama, w najwyższem znaczeniu, nie czem innem właśnie jest jak boskiem posłannictwem narodu; jak w mądrości Bożej poczętem, pod Bożą opieką rozmagającem się, i do boskich celów Opatrzności zmierzającem zadaniem narodu, które go ciągle do życia pobudza, które nie da mu spocząć, aż się ostatnia życia jego rozwinie chwila, ostatnia w powołaniu jego spełni głoska!

W tym ostatnim historyi momencie, gdzie jak po strasznej powodzi tęcza przymierza między wiarą a narodowością na nowo zabłysła, splot ich odwieczny, nie jestże widocznym? Od rewolucyi francuskiej, aż do dni dzisiejszych, nowe, wielkie na świecie zaszły wypadki. Wypadki te są potwierdzeniem niejako myśli przez nas wypowiedzianej *) a przez to stają się nową dla nas pobudką do uzupełnienia przerwanego ich wątku.

Pius IX w sercu swojem świętem zlawszy w jedno uczucie narodowość i wiarę, najwznioślejszy z siebie dał przykład zgody między narodowością a wiarą. Obejmując rządy apostolskie, objął był oraz kierunek doli nieszczęsnej narodów; we wszystkich świętobliwych postępkach swoich nierozłączoną jedność mając na względzie wiary i narodowości, obie te potęgi otrętwiałe już i zamorzone prawie na świecie ogniem swoim chrześciańskim podsycił i ożywił. Jak drugi Mojżesz, na fundamencie wiary, prowadził on narodowości ku ich ziemi obiecanej, ku wierze, a z drugiej strony chciał, by religia przesiąkła stosunki narodów.

I otóż zadrgnąwszy dźwigały się narodowości wszystkie i w rewolucyi lutowej zawołały: jestem! Rewolucya z lutego całą wartość istotną i przyszłość, nie w socyalizmie lub w kramarstwie, ale tylko w ocknieniu, w znaczeniu i w potędze narodowości mieć może. Narodowość zaś, chcąc być i ostać się w obec krzywd, obłudy i zbrodni, jej wyrządzanych, powinna koniecznie być po stronie prawdy, sprawiedliwości i uświęcenia, a te nadaje wiara i religia. Narodowość powinna odnowić i utwierdzić stary swój sojusz z wiarą, powinna z wiarą w najściślejszej jedności zostawać i zgodzie. Umiejętność nawet, dotąd tak zadufana w sobie, tak dumna z tego, iż bez żadnej obcej, danej podstawy, sama o własnych siłach piętrzyć się mogła, dziś stanowczy krok uczyniła ku wierze — i na najszczytniejszym jej pomniku: na modlitwie pańskiej, jako niezachwianej, na przeznaczonej dla siebie podstawie z miłością spoczęła; z filozofii dziejów przemieniła się na ewangelią narodów; a jako było na początku, kiedy miały powstawać narodowości, takoż i teraz na końcu, kiedy zmartwychpowstawać mają. Umiejętność, choć jeszcze nie uświęco-

*) Zobacz Gazeta W. Ks. Poznańska, rok 1845, numer 250.

na, jak drugi Ufilas albo jak ś. Cyrylli i Metodyusz, przystępnemi czyni dla rozumującego świata tajemnice wiary i... według rozumowego jeszcze stanowiska umysłów, nowy wykład i nowy przekład modlitwy pańskiej w ojczystym zrozumiałym robi języku. Snać nie bez zasady powiedziano, iż w nową erę świata wstępujemy, kiedy tak się wszystko odnawia, zmartwychpowstaje, kiedy tak wszędzie koniec do początku wraca! Azaliż nam większych potrzeba dowodów na związek wiary z narodowością nad czas dzisiejszy, gdy równie w kościele i w religii, jak w biegu polityki i dziejów, jak nakoniec w postępie wiedzy i umiejętności związek ten tak się stał jawnym i oczywistym?

Przebiegliśmy całe dzieje powszechne na prędce, od najdawniejszych aż do dzisiejszych czasów, i przekonaliśmy się, że wiara i narodowość, w każdym swoim okresie i na każdym stopniu, jak najściślej z sobą wiązały się i splatały. A jak z postępem wieków wzmagała i odbudowywała się narodowość, tak wraz z nią musiał też w duchu narodu rozszerzać, utwierdzać i odbudowywać się wiary przybytek, w którym narodowość swoją otuchę i swoje schronienie znajdowała, w którym przebywała przez wieki, i w którym się rozmagała najsilniej.

ELŻBIETA,

Królowa angielska.

Urodziła się Elżbieta 17go września 1533, więc prawie w 50 lat po narodzeniu Marcina Lutra, półbożka niektórych germańskich filozofów i historyków, a który 1517 swoję czynność reformatorską rozpoczął.

Elżbieta była córką Henryka VIII ang. króla i Anny Boleny. Za panowania przyrodniej siostry swojej Maryi I. katoliczki, Elżbieta uznawana za dziecię nieprawego łoża, i poniekąd za protestantkę, umiała ujść zguby swojem zachowaniem się, a mianowicie wyznawaniem publicznem katolicyzmu, i odsunięciem się od dworu do Ashridge. Mimo to, posądzono ją przecież o wspólnictwo w spisku na życie królowej, i wsadzono naprzód do Towru, a potem odesłano do zamku Woodstock, gdzie była wolniejszą. Ale wnet oskarzono i uwięziono ją na nowo; wstawił się za nią jednak Filip II. hiszpański król, a małżonek Maryi, zapewne raczej polityką niż współczuciem, jak zwykle, tak i w tym razie spowodowany: bo się obawiał, aby po śmierci Maryi, za usunięciem Elżbiety, korona angielska nie dostała się Maryi Stuart, małżonce francuskiego króla Franciszka IIgo. Dozwolono tedy Elżbiecie, acz nie w zupełnej wolności, bawić na zamku Hatfield, gdzie się około niej snuli i protestanci i katolicy w nadziei pozyskania jej drogiej ręki, jako prawdopodobnej następczyni tronu. Śmierć Maryi Iszej, która przypadła w 1558 r. nietylko wróciła Elżbiecie wolność, ale jej dała i tron, wedle rozporządzenia niegdyś Henryk VIII, chociaż go żaden wyrok parlamentu nie potwierdził.

Nim postąpimy dalej, wróćmy się cokolwiek wstecz, wróćmy się aż do początku reformacyi w Anglii, z której to reformacyi za sprzyjającym zbiegiem okoliczności wytrysło ledwie nie główne źródło potęgi angielskiej, która aż po dziś dzień, przynajmniej widocznie, rość nie przestała, pomimo współubiegania się z Albionem dwóch innych pierwszego rzędu mocarstw. Cofnijmy się aż do Henryka VIIIgo.

Henryk VIII (1509—1547), biegły w scholastycznych naukach, oparł się naprzód roszczeniom Lutra: osobnem pismem *o siedmiu sakramentach* przeciw niemu wystąpił, i adherentów jego więzieniem i śmiercią ogniową pokarał! Lecz przywiązanie królewskie do stolicy apostolskiej, która go uczciła mianem obrońcy wiary, wnet zmieniło się w nienawiść przeciw tejże, a to z powodu, że Klemens VIImy, papież nie zezwolił Henrykowi na rozwód z Katarzyną, hiszpanką. Żądał król tego rozwodu, bo postanowił ożenić się z Anną Boleną (Boleyn), i tak zawziął się postawić na swojem, że aby tego dokazać, sprzeniewierzył się kościołowi. Kanterburgski arcybiskup *Cranmer* dał królowi rozwód i ślub z Anną. Zarazem zmusił Henryk duchowieństwo do uznania go głową angielskiego kościoła, a podły parlament przywiódł do wydania różnych wyroków, znoszących powagę papiezką w Anglii.

Król się rozpasał na wszelkie złe, klasztory poznosił gwałtownie, mnichy i mniszki porozpędzał na cztery wiatry, dobra kościelne częścią zagarnął na skarb, częścią porozdawał pochlebcom dworskim—szczątki posłużyły dobru publicznemu. Ze skarbami starodawnej sztuki i nauki postąpiono w sposób niegodziwy, dziki, po wandalsku. Nie poszanowano żadnej świętości; sponiewierano wszystkie. Papieżników i Lutrów zarówno prześladowała nienawiść królewska; pierwszych, ponieważ jego gwałtów nie pochwalali; drugich, ponieważ się z nimi co do artykułów wiary niezgadzał i trwał w tem, co przedtem przeciw ich naczelnikowi napisał — jedni i drudzy szli na stosy, które podpalano drewnianemi obrazami świętych. Nietknął jednak dziwaczny król zwyczajów, ceremonii i hierarchicznych urządzeń katolickich, nietknął celebatu, spowiedzi i t. d. Henryk VIII nietylko tyranizował sumienie religijne swoich poddanych, ale i ich głów nie oszczędzał, a nie mogąc dzikości swojej nasycić: gorzej tygrysa rozjuszył się i mordował swoje żony. Zaledwie odepchnięta Katarzyna z daleka od dworu uległa zmartwieniom i cierpieniom, to już i Anna Bolena obmierzła mu, więc jej głowa padła w Towrze pod toporem kata. Ożenił się tyran z młodą, łagodną Joanną Seymuor, a gdy ta w połogu umarła, ożenił się z Anną księżniczką kleweńską (Cleve) *), z którą się rozwiódł, a kanclerza Kromwella doradzcy do tego małżeństwa zciąć kazał. Swoją piątą żonę, Katarzynę Howard, także ściąć kazał. Ledwie ostatnia żona jego Katarzyna Parr umiała ujść i przykrej zmiany losu i gwałtownej śmierci. Henryk VIII był, jak gdyby życiu powrócony Neron, lub Domicyan; ba! musiał być gorszym od nich, bo—będąc chrześcianinem—srożył się tak samo, jak oni. Już na łoże śmiertelne rzucony, kazał stracić księcia Norfolk i jego syna.

Po tego tyrańskiego niegodziwca śmierci 1547 (rokiem przed śmiercią naszego Zygmunta starego) nastąpił sześcioletni jego i Joanny Seymour, syn Edward VI. Rządzili w jego imieniu arcybiskup Cranmer i książę Somerset. Pod tym królem protestantyzm się cokolwiek rozwinął i ugruntował. Po śmierci Edwarda VI nastąpiła 1553 Marya Tudor, jego siostra w wierze katolickiej wychowana, chociaż nie bez zaszłych poprzednio, szczęśliwie jednakże usuniętych intryg.

Marya nakłoniła chwiejny parlament do zniesienia zaprowadzonego za jej brata porządku kościelnego, Cranmera i sprzeciwiających się jej biskupów usunęła,

---

*) Postarano się dla króla o portret księżniczki, pendzla Holbeina (młodszego?), jeżeli ten znamienity niemiecki mistrz nie pochlebił księżniczce, tedy z postępku króla jasna, że niedosyć pięknej twarzy do utrzymania na wodzy srogiego tyrana i niewolnika brudnych i zwierzęcych namiętności.

i tak wspomnionego arcybiskupa tak i jego najgorliwszych stronników Ridley-a i Latimera w Oxforcie spalić kazała. Kardynał Pole, obrońca stolicy apostolskiej i najzaciętszy nieprzyjaciel Henryka VIII, został arcybiskupem w Canterbury i starał się przywrócić katolicką wiarę do dawnego stanu. Prześladowano w odwrotnym kierunku, a gdy królowa oddała rękę ściśle katolickiemu Filipowi hiszpańskiemu, zaczęto srożej prześladować, królowa wnet (1558) umarła ze zgryzot, wypływających z nieszczęśliwego małżeńskiego pożycia.

Wstąpiła tedy Elżbieta w 25 roku życia swego na tron. Jaką szkołę przeszła, widzieliśmy właśnie. Córka Boleny nie mogła zbyt sprzyjać katolickiej wierze; lecz postępowała ostrożnie. Filipowi II hiszpańskiemu, a szwagrowi swemu, starającemu się o jej rękę tejże wprost nie odmawiała i zbywała go grzecznościami, aby nie przyszło jej doznać przeszkody w umocnieniu się na tronie. Wysłała nawet posła do Rzymu, a przynajmniej wysłanemu przez swoją poprzedniczkę tamże bawić dozwalała. Lecz, gdy papież, Paweł IV, nie chciał jej, jako dziecię nieprawego łoża, uznać królową, odwołała angielskiego posła z Rzymu, i postanowiła reformacyę zaprowadzić w całej Anglii *). Parlament złożył jej swój hołd w 1559 i uznał ją królową, a oraz potwierdził, że panująca w Anglii głowa jest głową angielskiego kościoła. Kazano na taki artykuł wiary złożyć przysięgę wszystkim urzędnikom państwa. Z pomiędzy 15 biskupów niezłożyło jej 14, z pomiędzy 9400 księży 160; pozabierano im posady — a kościół episkopalny, który doznał zmiany w kulcie, uczyniono panującym.

(C. d. n.)

Niedzielna śpiewka pastucha.

(Z Uhlanda).

Dzień pański święci się —
Jam tylko jeden wśród tych niw —
Dzwonek gdzieś ranny dzwonił śpiew—
Znów cicho w koło mnie.

Usta pacierzem drżą,
I mnie tak lubo — mnie się zda,
Że tu aniołów klęczą sta,
I modły ze mną ślą.

Błękity w koło mnie
Urocze, czyste, jakby mi
Roztwierać chciały nieba drzwi —
Dzień Pański święci się.

M. Bałucki.

---

*) Czy Elżbieta już za panowania swojej siostry była zdecydowaną akatoliczką, czy zaś dopiero z zemsty i dla interesu, jak nie ze wszystkiem odrodna córa swego ojca nią się stała — trudno zgadnąć bez wyraźnych świadectw, zwłaszcza, że niełatwo wiedzieć jak dalece w Anglii mógł już być protestantyzm zakorzenionym w sercach.

Po sześciu latach.

Powieść.

I.

Jesteśmy w jednej z owych milutkich wiosek górskich, co to żywo przemawiają do serca lubym powabem swych niewyczerpanych, cichych i skromnych a głębokich zarazem uroków. Małe, ubogie chatki, umajone zielenią bujnej drzewiny, rozsiadły się w niewielkiej kotlinie jedna obok drugiej, w tak jakoś serdecznem, przyjaznem sąsiedztwie, że zdawało się jakoby tworzyły razem tylko jedno poczciwe grono rodzinne. Do koła rozciągały się uprawne wzgórza, a ponad wzgórzami sterczały wysokie szczyty Karpat, zamykając zewsząd wiokrąg, jakby chciały do swych piersi przytulić ubogie sioło, lub powstrzymać wszelkie obce, zimne tchnienia zewnętrznego świata, by nie wymroziły swym powiewem tego rodzinnego, serdecznego ciepła, co ogrzewało drobne, szare domki i ich mieszkańców. Z wąskiego, ciemnozielonemi smereczkami i sosenkami obrosłego wąwozu tych gór wytryskał z hukiem i szumem szczupły, ale żywy i niesforny potok, jakby chłopię żwawe i hałaśliwe — i istne dziecię Karpat pędził w swobodnym i krnąbrnym biegu przez wioski, łamiąc się w najdziwaczniejsze zygzaki, skacząc swawolnie w kapryśnych wodotryskach z garbka na garbek, z kamyczka na kamyczek. A małe chatki przeglądały się w jego czystej, kryształowej wodzie z upodobaniem, i umajone gałęziami sadowiny kokietowały swemi strzechami w strumieniowem zwierciedle, jakby stare elegantki same do siebie. Ciasna, kamienista drużyna, ocieniona szeregiem wierzb, przesuwała się białawem pasmem przez sioło, tuliła się przyjaźnie do pobielanej karczemki, migała jakby białym sznurem pod wiejskim młynem i —umykając dalej — niknęła gdzieś między zielonemi, lesistemi wzgórzami.

W samym środku wioski, lecz w pewnem odosobnieniu od jej domków, znajdowała się chata przestronniejsza i porządniejsza jak inne. Zbudowana staranniej i regularniej, była do połowy poszyta słomą, do połowy zaś obita gontami. Gonty te wprawdzie nie dotrzymały miejsca strzesze, która, choć już dobrze zczerniała, chroniła jeszcze dostatecznie chatę od niepogody, podczas, gdy gonty pozapadały się i pogniły, a gdzieniegdzie wielkiemi dziurami ciekawie spoglądały ku niebu. Lecz zato wynosił się na dachu obszerny i wysoki komin, który stanowił ważny i od razu w oczy uderzający wyjątek w architekturze naszego sioła, a ściany były schludnie pobielone i patrzały wesoło małemi, w zielone ramki ujętemi okienkami. Widać było, że tę chatę kiedyś w stosunku do reszty zabudowań wioski z pewną okazałością wystawiono, i że musiała być przeznaczoną na cel jakiś ważniejszy, lecz zwolna starzała się coraz bardziej, i przybrała nareszcie jakoby postać swego sąsiedniego otoczenia. Mimo całą podeszłość swoją, tchnęła jednak chata ta wraz z swem skromnem obejściem jakąś poczciwą szczerotą, jakimś sielskim, serdecznym powabem, który zawsze świeży, i nigdy się nie starzeje, jak niestarzeje się nigdy ta ujmująca, patryarchalna prostota, którą tak strojny lud nasz i sioła nasze. Cały domek był otoczony bujnym i świeżym żywopłotem, zamkniętym małą, z grubszego ociosaną furtką z drewnianą zasuwką — tuż za nim znajdowało się kilka zgrabnie usypanych grządek i kląbików, okrytych ładnem i wonnem kwieciem, które jak widać pielęgno-

wała jakaś drobna rączka dziewczęcia i ożywiało tchnienie jego usteczek, bo dobrze im było w ogródku i rosły bujno i swobodnie. Przed okienkami rosła rozłożysta grusza, stara bajarka, bo wiecznie coś szeptała i szemrzyła wróblom, co gwarną gromadą usiadłszy na jej gałęziach odpowiadały jej piskliwem szczebiotaniem, jakby się droczyć chciały z sędziwą staruszką. Pod gruszą stała mała drewniana ławeczka, a przed ławeczką pień olbrzymiej objętości, służący zapewne za zwykły stół. Za domkiem znajdował się sadek mały, lecz troskliwie utrzymywany, którego drzewa uginały się co roku pod ciężarem różnych owoców. Sad ten był mimo gęsto porozstawianych „strachów“ miejscem godów dla małych ptasząt-smakoszów, a nawet i i ów u góry opisany strumyczek wybrał sobie przezeń drogę, jakby się chciał krzepić jego chłodem i jego miłą wonią.

Zabudowanie to całe było przeznaczonem na szkołę wiejską i pomieszkanie nauczyciela. Już blisko trzydzieści lat temu, jak włościanie naszej wioski, nakłonieni wpływem gorliwym swego proboszcza, złożyli sumę jaką taką, i wystawili domostwo szkolne. Nie przyszło im to zbyt trudno, bo i las był blisko, i we wsi rąk roboczych dosyć — więc chata stanęła rychło wspólną ofiarą i wspólnem poparciem. Daleko większym atoli był kłopot o nauczyciela. Gmina była ubogą, i brak jej było na wszelkich obfitszych środkach, by wyposażyć dostatecznie człowieka, któryby miał zdolności i chęć potemu, by uczyć wiejską dziatwę najpotrzebniejszych wiadomości. Jakoż długo było szkolne pomieszkanie próżnem, bo nikt nie pospieszył zająć w niem miejsce i zgromadzić około siebie małych adeptów ludzkiej wiedzy, zwłaszcza, że wynagrodzenie ziarnem i gotówką, na jakie się nareszcie zdobyła gmina, nie nęciło bynajmniej świetnością. Tak się miały rzeczy, gdy się naraz zjawił we wsi człowiek już nie młody, i... przedstawiwszy się proboszczowi, oświadczył swą gotowość uczenia dzieci kmiotków. Nieznajomy był wprawdzie licho ubrany i przybył piechotą — ale posiadał pochlebne świadectwa, więc bez namysłu poruczono mu urząd nauczycielski. Odtąd dwadzieścia i kilka lat minęło, jak nasz nauczyciel spełniał w wiosce swe czynności z tak serdeczną gorliwością i zaparciem się, że gmina cała otoczyła go prawdziwą czcią i miłością. Lecz zostawmy sobie bliższe zaznajomienie się z starym Cyrylem, bo tak się nazywał nauczyciel naszego sioła, na późniejszą część tego rozdziału, a udajmy się tymczasem za domek nad strumyk, co przerzynał mały sadek, dokąd nas wabi coś ciekawszego nad postać starego bakałarza.

Piękny dzień czerwcowy miał się ku zachodowi. Ukośne promienie zachodzącego słońca oplotły złocistą siecią zielone liście ogrodu i rozbijały się lśniącym blaskiem o wody strumyka. Skwarne gorąco dnia ustępowało zwolna rzeźwemu łagodnemu chłodowi zbliżającego się wieczora — a na niebo wypływały małe, bieluchne, przezroczyste obłoczki, jak skrzydełka aniołów, i w miarę, im niżej słońce zachodziło, coraz swobodniej i liczniej rozwieszały się na błękicie. I coraz większa cisza poczynała się rozlegać po całem otoczeniu — tylko hurma zgłodniałych i zmęczonych ptaków, usiadłszy na drzewinach sadu, krzepiła się chłodem i odprawiała gwarną i hałaśliwą siestę wieczorną — tylko strumyk nucił sobie jakąś na pół wesołą i lekką, na pół smętną piosenkę — i w krzakach u stóp przeciwległej góry począł się odzywać w pojedyńczych, urywanych akordach słowik, jakby się zawczasu przygotowywał do nowego koncertu.

Oparte o cienistą, rosochatą jabłoń, stało w zadumie jakieś dziewczę małe. Niemogło mieć więcej nad lat trzynaście — lecz mimo to, krasiły je wdzięki dziewiczej piękności. Zgrabna, owalna twarzyczka, zesmaglona nieco przez słońce, uderzała rysami wyższego, niezwykłego powabu i tym jakimś więcej umysłowym, rzecby można, idealnym urokiem — którego nawet nie szukać u innych wiejskich dziewcząt. Czoło śmiało i wzniośle zarysowane, gładkie jak marmur i czyste jak marmur najszlachetniejszy, ocienionem, a właściwie ozłoconem było splotami pięknych, jasnych włosów, które połyskując w słonecznych promieniach, zdawały się je wyzywać do walki o pierwszeństwo. Z pod tych złotych włosków świeciło dwoje ócz niebieskich, pięknych i miłych — jak niebo, co się roztaczało swemi błękitami nad dziewczęciem, jak fiołek, co wystawiał u jego nóżek swą wonną główkę do góry. Do tego dodać należy nosek kształtny i podług wszelkich prawideł pięknie zarysowany, usteczka świeże i rumiane jak pączki różane, i kibić zgrabną i wiotką—co razem sprawiało, że maleńkie dziewczę przedstawiało dziwnie uroczą i wdzięczną postać, która zarazem zdziwiać i porywać zwykła.

Dziewczę pochyliło główkę na dół, i dumając obracało w drobnych rączkach pęk bławatów. Wysunęło jedną bosą nóżkę naprzód i postawiło ją w wody strumyka, który swemi drobnemi falami łagodnie po niej pluskał; pieszczotliwie do niej się tulił, pomrukując sobie przytem wesoło, jakby się radował z swego miłego gościa.... Jakieś dziwne marzenia rozsnuły snać swą sieć po główce dziewczęcia, a twarzyczka jej była zwierciadłem tych marzeń i uczuć, bo nasze wiejskie dziewczątko to zaśmiało się swemi usteczkami różanemi, to zamigotało sennie błękitnemi oczętami, to znowu osołowiało *) i zsmętniało widocznie... A tymczasem swawolne rączki skubały psotnie bławatki i rzucałe ich główki w fale strumyka, które je unosił z sobą chyżo — unosił może tam, dokąd ulatywały marzenia dziewczęcia... Nagle łezka zabłysła w oku dziewczyny—ocknęła się z zadumy i spoglądnęła w strumyk.... A strumyk filut, pochlebca, oddał cudną jej postać, jakby zwierciadło, tak dokładnie, tak wiernie, że nawet i łezki niebrakowało całej postaci, która się odbijała na jego dnie... A pięknie, cudnie pięknie było dziewczce z tą łezką w niebieskiem oczku!... I podobało się samemu sobie małe dziewczę, bo wdzięczny uśmiech spędził łezki z oczu i chmurkę z czoła, a rączka nie opuściła już ostatniego bławatka w wodę, ale go zatknęła zalotnie w splot złotych włosów..

W tem zaszeleściało coś za dziewczyną, i... zanim się zdołała obrócić po za siebie — czyjeś dłonie okryły jej oczy. Dziewczę się wzdrygnęło i poczęło się szamotać, by wydobyć główkę z rąk nieznajomych.

— Kto to?... — zapytało i poczęło obmacywać ręce, które jej oczka zakryły.

Śmiech tylko pusty i żartobliwy odpowiedział jednak na to zapytanie.

— Już wiem!... już wiem!... to ty!... ty Stasiu — zawołała dziewczynka.

Dłonie się usunęły, i przed oczyma dziewczyny ukazał się miły jakiś chłopczyna. Mógł liczyć lat zaledwie piętnaście. Twarz ogorzałą i ozdobioną znamieniem tej chłopięcej dziarskości, która się w późniejszych latach rozwija w wyraz męzkiej dzielności i urody, uwydatniało jeszcze więcej oko czarne, ogniste i żywe, a nad wiek wyraziste i poważniejszej jakiejś myśli pełne — czarne, bujne włosy otaczały czoło duże, otwarte, na którem się widocznie malował bystry umysł i duchowa swoboda, i spływały po kształtnych, silnie zbudowanych

*) posępniało.

ramionach. Chłopczyna był ubrany w wolną i szeroką bluzkę z prostego, grubego płótna, na którę sobie wyłożył czyściutki kołnierz od koszuli również grubej. Na głowie miał słomiany kapelusz, zasadzony z pewną pretensyą i junacko na bakier, a ozdobiony wstążeczką czerwoną, z poza której wyglądały różnobarwne piórka i kwiatki.

— Marysiu! patrz Marysiu!... com ci przyniósł! — zawołał chłopczyna i podniósł w górę bukiet najpiękniejszych kwiatów górskich—chodziłem dziś na tę wysoką górę, na Widnę, i byłem hen... hen... wysoko... tak wysoko Marysiu, że mi się zdawało, że byle raz jeszcze tak wysoko, toby już dłonią do nieba sięgnąć można... A po drodze tyle ziół pachnących, tyle kwiatów, że się dosyć nacieszyć nie można... Narwałem ich mnóstwo, zioła dla taty, a kwiatki dla ciebie.

I z uśmiechem serdecznym postąpił ku Marysi i podał jej bukiet. Marysia wzięła kwiatki i uśmiechnęła się zrazu radośnie; lecz spoglądnąwszy swemi pięknemi oczętami na Stasia, czegoś się głęboko zasmuciła, i na jej twarzyczkę wystąpił wyraz jakiegoś wzruszenia, tak silnego i żywego, że prawie uwierzyćby niemożna, że się ono zarysowało na twarzy trzynastoletniego dziewczęcia.

— Ach jak tam ślicznie, na tej Widnej!...— mówił dalej rozpromieniony od zadowolenia Staś — szkoda, wielka szkoda, że ciebie tam niebyło... Ale tato powiedział, że pójdzie kiedyś tam ze mną, to i ty pójdziesz Marysiu!

— Nie Stasiu! ja już niepójdę!... — odpowiedziało dziewczątko i smutnie popatrzyło na Stasia.

— Czemu?... tam tak pięknie..

— Bo ja ztąd pojadę...

— Co?... pojedziesz!... — zawołał chłopczyna i aż pobladł od zdziwienia i przerażenia. — Dokąd?!...

— Het, het... daleko... bardzo daleko...

Chłopczyna aż zadrżał na te słowa. Na piękną twarz wystąpił mu wyraz boleśnego przestrachu. Wypatrzył się na Marysię osłupiałym wzrokiem, i zdawał się zupełnie niepojmować tego, co powiedziała.

— Pojadę ztąd niezadługo, pojadę bardzo daleko — mówiła Marysia dalej na pół smutnym, na pół uradowanym głosem — ta wysoka, blada pani, co to zawsze pięknie ubrana i tak piękuemi wonieje zapachami, a chodzi zawsze z lokajem w złote pasy ustrojonym, bierze mnie z sobą...

— I ty jedziesz?... — zapytał smutnie Staś, i łza zalśniła mu w oku.

— Jadę... bo ta pani taka dobra, i tak do mnie słodko mówiła... Obiecała mi piękne, cudne sukienki, takie, w jakich sama chodzi.... Czy słyszysz Stasiu! takie piękne sukienki... A jak w nich będę ładnie wyglądała!...

I dziewczę uśmiechnęło się z zadowolenia. A Staś biedny pochylił głowę na dół i zamyślił się smutnie. Potem podniósł swe czarne wyraziste oczy do góry i spojrzał z bolesnym wyrzutem na dziewczynkę.

— I zostawisz tatę?.... — zapytał po chwili, niespuszczając oczu z Marysi.

— Tato sam każe mi jechać. .. — odpowiedziało dziewczę, ale już nie tak wesoło i swobodnie jak przed tem — tato mówi, że ta pani każe mnie uczyć wiele, wiele pożytecznych rzeczy, że mnie zrobi szczęśliwą i...

— A za chatą ci żal nie będzie?.... — pytał dalej Staś.

— Z początku mi bardzo żal było — odpowiedziało dziewczę — ale ta pani mówiła, że ja do niej kiedyś wrócę na pociechę taty...

— A za ogródkiem?...

— Za ogródkiem... — powtórzyło dziecię rzewnie i zesmutniało jeszcze bardziej, lecz wkrótce dodało weselej — wszakże i tam, gdzie pojadę, będą kwiatki, tylko jeszcze piękniejsze...

— A za mną?... — zapytał nagle drżącym od wzruszenia głosem chłopiec, i otarł dłonią łzę, co mimowolnie cisnęła mu się do źrenic. Biedny Staś położył samego siebie na koniec — czy dla tego, że w swej skromności nie widział w własnej osobie środka powstrzymania dziewczęcia, czy może przeciwnie zostawił najdzielniejszy zarzut na koniec? niewiem...

Wszakże to ostatnie zapytanie najsilniej jakoś przemówiło do Marysi, łzy puściły się z jej niebieskich oczęt, i... uchwyciwszy Stasia za rękę, rzekła, tłumiąc płacz w sobie:

— Stasiu!... ja chyba niepojadę... Chodź do taty, niech ci on wszystko opowie, tak jak mnie opowiedział... On mi każe jechać, więc wie najlepiej dla czego...

I ciągnąc za sobą rozczulonego chłopaka, udała się ku chacie. I my pójdźmy za nimi.

(C. d. n.)

Ramoty starego Detiuka

O WOŁYNIU,

zebrał

Antoni Andrzejowski.

Pamiętniki stanowią prawdziwie bogactwo literatury każdego kraju, bo jeżeli w historyi znajdujemy spisane zdarzenia, czyny wielkich ludzi, poznajemy jeno ogólne, że się tak wyrazimy tło historyczne narodu, który przedstawia się nam w głównych zarysach, rzecby można, komturach na grubo zakreślonych tylko. Pamiętniki dopiero cieniują tło wybitniejszemi rysami, i ogólnej wreście fizyonomii przeszłości nadają niejako podobieństwo portretowe. Historya uzupełnia się pamiętnikami, które, odzwierciadlając nam całe życie społeczne narodu w jego wadach i zaletach domowych, objaśniają nam najlepiej powody wszelkich zmian i powodzeń narodu, którego byt i losy zależą prawie po największej części od jego społeczeńskiego składu.

Jak ważną częścią literatury są pamiętniki, poświadcza literatura francuska głównie, a po części angielska. Francuzi i Anglicy szczęśliwsi i spokojniejsi od nas, bo prócz kilku burz chwilowych w domu lub za domem, mogli się wyrabiać i kształcić, podczas gdy my przez całe wieki stać musieliśmy na ostatnich czatach walczącej naprzeciw barbarzyństwu cywilizacyi, piersiami naszej bronionej, i naszą krwią okupowanej, mieli oni dosyć czasu, by w domowem zaciszu poświęcać się napisaniu pamiętników; nam zaś zbywało ukom, i przeżyte spisywać pamiętniki. Nam na pisanie niestawało czasu, bo pióro w rękach naszych zastępował oręż, a w krótkich chwilach spokoju, resztę zabierało życie publiczne wiecznie burzące się, bo niemiało się czasu ustalić w długo trwałym pokoju. To też Anglicy i Francuzi mają mnóstwo pamiętników tak szczegółowych, że z największą łatwością studyować mogą każdą epokę historyczną od wojen krzyżackich zaczawszy, aż po czasy ostatnie. Ztąd też poszło, że u nich zakwitnął romans historyczny, stanowiący w narodzie najpożyteczniejszą niemal część piśmiennictwa, bo formę i wykład mając przystępne najłatwiej przechodzą do mas, i szerzą w nich znajomość własnych dziejów.

My z dawniejszych czasów pamiętników niemamy prawie żadnych, dopiero z wieku XVIIIgo, a mianowicie z epoki Stanisławowskiej zaczęły się pojawiać w nowszych czasach dosyć bogate zródła pamiętników. To też żadna epoka dziejów naszych, nie jest nam tak dobrze znaną, jak większa część wieku ośmnastego, i nieszczęśliwe panowanie Stanisława Augusta. I zaprawdę żadna historya, najlepiej napisana, nie da nam wyobrażenia tak jasnego o prawdziwych przyczynach naszego upadku, jak pamiętniki owych czasów, i to zarówno czy były pisane przez ludzi sercem do kraju lgnących, czy do niego z przywiązania wyzutych. Ci ostatni właśnie, choć pobłażają wadom narodowym, choć podnoszą fałszywy kierunek narodu ówczesny, i w najlepszem świetle przedstawiają wszystkie najgorsze żywioły i czynniki onej epoki, niemogą się przecie o tyle oddzielić od własnego otoczenia, od stosunków społecznych w jakich żyli, by nie wystąpiła tem jaskrawiej prawda społeczna, mimowolnie przez niepoczciwe usta wygłoszona.

Pamiętniki, o których mamy mówić, wydają nam się być w pewnym względzie apokryfem. Mniejsze o to, czy Detiuk jaki istniał, czy nie, czy to prawdziwe, czy przybrane nazwisko, byle fakta w pamiętnikach zawarte były prawdziwe, i zachowanem było wiernie tło epoki w pamiętnikach odwzorowanej. Owóż co do tego pamiętniki mamy za prawdziwe, zowiemy zaś je apokryfem dla tego tylko, że widocznie występuje w całym układzie, stylu i sposobie opowiadania, jakieś umiejętniejsze obrobienie, niżeli by o nie posądzić można było ośmdziesiątletniego starca, jakim ma być opowiadający jak wynika z dat. Zdaje się nam zatem, że się nieomylimy, taką tym pamiętnikom dając charakterystykę. Są to niezaprzeczenie zapiski pamiętnikowe jednego a raczej kilku, zebrane i obrobione nie bez pewnego artyzmu nawet. Może być nawet bardzo, że obrabiacz sam dobrze obznajomiony z Wołyniem mianowicie, czerpał w archiwach niektórych rodzin znakomitszych, i niemi uzupełniał swe urywane zapiski pojedyńcze. Bądź co bądź, obraz Wołynia, a mianowicie życia wielkich i bogatych rodzin polskich na Wołyniu, od ostatnich lat przeszłego stulecia aż po czasy krzemienieckie, jest tak doskonale oddany, że widzimy zaprawdę owoczesne społeczeństwo jakby odfotografowane. Piszący, czy obrabiający nie zapatruje się na czas społeczeństwa ze stanowiska naszego, jak je dziś pojmujemy, i całe życie owoczesne maluje w barwach najwięcej różowych, a nawet w rozdziałach późniejszych, równie płacze i tęskni za tem życiem, a przecież mimo jego woli występuje nago prawda, i widzimy tu zepsucie narodowe występujące istnym trupem z pomiędzy wesołego kwiecia. Opisuje z zamiłowaniem gody i wesela, i to ustrojone wśród niego bankietujące społeczeństwo bez myśli o wczoraj i o jutrze; i ani mu to w głowie, że barwnemi rysami swemi najdobitniej wypisuje zgłoski Baltazarowe.

Pamiętniki te zewszechmiar są nadzwyczaj ciekawe i zajmujące, a dla powieściarzy są one skarbem prawdziwym. Wszakże całemi szmatami zdybać tam można całe już epizody i rozdziały powieściowe, jeżeli nie zupełne powieści obrobione z dobrem wcale pojęciem artystycznych warunków. Warte są zatem przeczytania i przestudyowania nawet, tak jak w ogóle wszelkie pamiętniki zasługują na największe rozpowszechnienie. Tymczasem rzecz się u nas ma inaczej. Najciekawsze pamiętniki spoczywają na deskach księgarniowych, do czego przykłada się nie mało drogość wszystkich druków polskich, wynikająca w części z małego odbytu.

To stało się nam powodem do tego, że postanowiliśmy w piśmie naszem jak najobszerniej przebiegać literaturę pamiętnikową, wyjmując z nich obrazy co najciekawsze, aby powszechność obznajamiać z niemi za pomocą więcej czytanego, bo łatwiej dostępnego pisma czasowego.

Zaczynamy od Ramot starego Detiuka, i zostawiając na później jeszcze niektóre uwagi krytyczne, mogące wybitniej jeszcze podnieść charakterystykę tych pamiętników, podajemy tu naszym czytelniczkom, by je nie nudzić dłuższym wykładem teoretycznym niejako, jedno zdarzenie rodzinne, w tych pamiętnikach zawarte, jako zastósowanie praktyczne naszego ogólnego, łatwiej wyłożonego poglądu.

Zdarzeniu temu, mającemu już w pamiętnikach pewną całość artystyczną, której nowem obrobieniem psuć niechcemy, dajemy — zda się nam najstósowniejszy tytuł:

Poprawiona Zalotnica.

Pani kasztelanowa Przyłuska, z domu Urbanowska, umiała w sobie połączyć wyższe ukształcenie czasów Stanisławowskich z powagą bogobojności i staropolskich obyczajów. Czy więc, jako senatorowa bawiła w Warszawie, czy jak prywatna obywatelka mieszkała w swoich Butowcach, zawsze była na swojem miejscu, zawsze miła ludziom i powszechnie szanowana. Przytułek miały przy niej ubogie szlacheckie panienki, a szczególniej pokrewne. Wszystkie były na tonie panien stołowych, a nad niemi, jakby ochmistrzynią, panna wyprawna kasztelanowej, panna Urbańska. Pomiędzy niemi najpiękniejszą była Ludwika Słomczyńska, daleka powinowata Urbanowskich. Młode to było dziewczę, żywe, wesołe, sprytne, ale wychowanie jej było ubogie, szlacheckie. Obca jej była etykieta domów wyższych, ale się prędko z nią oswoiła, bo np. kasztelanowej wszystkie panienki na pokojach, pod jej okiem z robotami siedziały, i p. Ludwika wiele korzystała z towarzystwa, jakie dom p. Przyłuskiej napełniało. Bracia p. kasztelanowej odwiedzali ją często, a osobliwie p. Michał, który się do niej i uczuciami i sposobem myślenia przybliżył. Majątek pp. Urbanowskich, był, jak na owe czasy, ogromny, bo każdy z nich więcej miliona złotych w ziemi posiadał, ale żaden się nie zenił. P. kasztelanowa bezdzietna pragnęła, aby który z braci miał potomstwo i przemyślała nad wyszukaniem dla nich żon pomiędzy obywatelskiemi córkami, ale szło trudno.

Pan Michał, odwiedzając siostrę, zauważył p. Ludwikę, lubił się z nią bawić, światłą rozmową ukształcił jej umysł, rozwijał wyobrażenia i wprawiał do porządnego tłumaczenia się językiem lepszego towarzystwa. Dawał jej dobre książki do czytania, co z wielką dla młodej było korzyścią. Ale im więcej władze jej się rozwijały, im więcej umysł się oświecił, tem więcej rozwijała się zarozumiałość i zalotność; lecz, że serce było dobre, to umiała czuć interesowanie się nią p. Michała i przywiązała się do niego. Postrzegając coraz więcej życzliwości dla siebie w p. Urbanowskim, przystroiła zalotność swoją w naiwną wesołość, i coraz więcej przywiązując go do siebie, w marzeniu o przyszłości, powiedziała sobie: „będę p. Urbanowską.“ Panna Urbańska, widząc i przywiązanie p. Michała do Ludwiki, i poznawszy jej zamiary, postanowiła sobie pomagać Ludwice. P. kasztelanowa często prześladowała brata p. Słomczyńską, ten się nie bronił, uśmiechał się i powiedział nakoniec siostrze, że gdyby poślubił Ludwikę, niczby w tem złego nie było. P. Przyłuska — lubo w duszy arystokratka i pragnęła jakiegoś znakomitego połączenia się, bratowej ze starego i możnego szlacheckiego domu — widząc jednak, że brat nie żartem o Lu-

dwice zamyśla, odpowiedziała, że i jej to przeciwnem się nie zdaje. P. Urbańska wpływem swoim na kasztelanowę potrafiła przekonać, że panna dobrego szlacheckiego rodu, choć uboga, warta p. Michała. Udało się więc jej uprojektowane swatostwo p. Ludwika, tak jak sobie zamierzyła, została panią Urbanowską. Wesele odbyło się u kasztelanowej w Butowcach, i w kilka dni pp. młodzi do swego majątku wyjechali.

Lubo w Polesiu, piękne jednak położenie Cepcewicz. Na wzniosłym pagórku nad Horyniem stał ładny pałac, z dziedzińcem otoczonym od wyższej strony podziemiami, od wsi szeroką fosą, na której most długi, porządny, łączył dziedziniec pałacowy z ulicą, z dworków oficyalistów i dworskich złożoną. Po za pałacem rozciągał się ogród, częścią w dawnym sposobie ze szpalerami strzyżonemi, częścią z dziką promenadą (jak wówczas zwano), w dobrym angielskim guście wykonaną. Środek pałacu z piękną facyatą łączyły z pawilonami dwie galerye z krytemi dachami, ułatwiającemi przejście górne z pawilonów. Pokoje były obszerne i jak na owe czasy paradnie umeblowane. Nowa pani tych gmachów nie mogła się nacieszyć posiadaniem tak pięknego i wspaniałego domu. Mąż, coraz więcej przywiązujący się do pięknej Ludwiki, obsypał ją tem wszystkiem, na co jego bogactwo pozwalało. P. Urbanowska stroje, bieliznę, meble i wszystkie zbytkowe drobnostki, miała sprowadzone z Warszawy, dokąd co miesiąc posyłano dla otrzymania nowości od pierwszych kupców i modniarek. Nie mógł szał nie objąć młodej i niezbyt starannie uorganizowanej głowy, a kiedy jeszcze okazała się nadzieja potomstwa, p. Michał nieznał granic swojej hojności, a p. Ludwika nieznała granic swoich kaprysów i coraz nowych wymagań.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Na dochód p. Janowskiego odegrano dramat pięcioaktowy Syrokomli p. t.: *Księżniczka słucka*. Dramat ten, jak wszystkie inne utwory dramatyczne naszego nieodżałowanego poety, te same ma zalety i te same wady. Pełno poezyi żywej, tryskającej z serca, gładkim i dźwięcznym rymem oddanej; pełno myśli pięknych budzących wszystkie uczucia narodowe, ale akcyi dramatycznej mało bardzo. Miło je słyszeć, mianowicie jeżeli są dobrze wygłoszone, ale interesu nie budzą. Księżniczka słucka, jest to fakt historyczny, doskonale znany, nie bez dramatyczności w swej całości, gdyby tę całość był umiał autor uchwycić i oddać należycie. Bogata dziedziczka mnogich włości, jest ona pod opieką Chodkiewicza, i wedle układu rodzinnego ma wyjść za Radziwiłła. Rodziny Chodkiewiczów i Radziwiłłów, obie możne i dumne, są w ciągłej zwadzie, do której i to się przykłada, że Radziwiłł jest wyznania ewangielickiego. Księżniczka niechętnie idzie za Radziwiłłowego syna, tem więcej, że pokochała młodego Chodkiewicza. Niechęć rodzin możnych wzmaga się, Radziwiłł postanawia synowę zbrojną siłą dostać. Chodkiewicz zbiera szlachtę do obrony; burza wojny domowej w mieście Wilnie już blizka. Wdają się w to posłowie króla, lecz nadaremnie. Radziwiłł napada wreszcie na pałac Chodkiewicza obwarowany; padają strzały, miasto palić się zaczyna, ulice niewinnemi zasłane trupami. Księżniczka, widząc to, mimo miłości do Chodkiewicza, aby rodzinne miasto i kraj cały wyratować od wojny domowej, oddaje rękę Radziwiłłowi. Jak widzimy jest to obraz wielki i piękny, a tak obszerny, że by się na nim mógł pomieścić wiek ów cały z tą butą pańską i temi niesnaskami domowemi, co ojczyźnie naszej tyle złego zrobiły, ze wszystkiemi dobitnie odpostaciowanemi obyczajami owego czasu, w rysach olbrzymich. Tego wszystkiego w tym dramacie niema, obraz historyczny staje się obrazkiem domowym, i całe pięć aktów pięknej ale zawsze gadaniny tylko, są jakby przemową tylko do podniesienia jednej żywszej sceny, jednej akcyi dramatycznej, gdy księżniczka poświęca dobru ojczyzny uczucia swoje. Co do gry artystów tego wieczoru nie wiele pochlebnego powiedzieć możemy. Odbijała się w oddawaniu ról niemal wszystkich jakaś obojętność i chłód ziębiący dosyć licznie zgromadzoną publiczność. Dodać należy, że niewiemy dla jakiej przyczyny powykreślano wiele z rozmowy dziada ulicznego i żołnierzy stojących na straży, która przecie stanowi główny niemal choć wątły węzeł intrygi dramatycznej, co zrobiło cały dramat niezrozumiałym zupełnie. Jeden p. *Królikowski* oddał rolę swoją (starego Chodkiewicza) ze zwykłą sumiennością, ale rola ta za mało jest wybitną, by nią największy talent mógł ożywić martwotę całego dramatu. Po słuszności trzeba przyznać jeszcze, że panna *Safir* rolę księżniczki, w niektórych chwilach mianowicie, oddała z wielką żywością i prawdą nawet. Głównie przy zakończeniu wypowiedziała, że nie miłość, ale rękę tylko oddaje przymuszonemu mężowi, z poważną naturalnością; ale natomiast w chwili, gdy Chodkiewiczowi wyznaje miłość swą, czyni to z zawstydzeniem nie księżniczki, ale jakiejś zwykłej dziewczyny, kryjącej rumieniec wstydu rąbkiem fartuszka. Publiczność dobrą stronę jej gry umiała ocenić, i przyklaskiwała szczerze. PP. *Janowski* i *Benda* (młodzi Radziwiłł i Chodkiewicz) może i dobrze grali, ale cóż?.... kiedy większej części roli niesłyszeliśmy wcale. Podnieść się jeszcze godzi grę p. *Wolskiego* w roli *starego Radziwiłła*. Przyznać trzeba temu młodemu artyście tę głównie zaletę, że jest artystą myślącym, potrafi zatem każdą rolę pojąć w jej najdrobniejszem odcieniu, a mając talent niezaprzeczony, odda ją czysto i żywo, skoro ją wypracuje. Mając zatem wszystko za sobą, bo i głos do tego wydatny i przyjemny, potrzebuje tylko wypracowania. Tym razem rolę swą oddał charakterystycznie, bo zachował w deklamacyi i ruchach powagę historycznej osoby przedstawionej, i prawdę artystyczną przez autora zakreśloną. Publiczność uznała to i wywołała artystę.

Dramat: *Ślepy i Garbaty* odegrany później, jest to lepszy zapewne fabrykat francuski, ale zawsze pełen naciąganych położeń, katastrof nasprowadzanych z niewielkiem prawdopodobieństwem, ale z widoczną chęcią utrzymania i podżegania ciągłego ciekawości widzów. Są wszakże w nim sceny żywe i piękne, ułożone z tą zgrabnością i pojęciem wymagań scenicznych, jakiem się francuscy autorowie odznaczają. Jednem słowem, w czasie przedstawienia dramat zajmuje, choć się czuje jego niedostatki; lecz po skończeniu ni w głowie ni w sercu patrzących nie zostaje ani jedna myśl głębsza, ani jedno rzewniejsze uczucie. W rozbiór obszerniejszy sztuki znanej zresztą wdawać się nie myślimy, bo zaprawdę szkoda czasu i atłasu. Zrobimy jeno uwagę, że tytuł *Ślepy i Garbaty*, nic nie powiada i nic nie charakteryzuje właściwej treści. Bohatyr jest ślepym, ale to tylko dodatek do prześladowań losu, które go nawiedzają. Doktor zaś — piękna i szlachetna postać w znaczeniu moralnem — mógłby bezpiecznie nie być garbatym. Treść i sens moralny sztuki niby na tem nie stra-

ził. Garb doktora to mały arabesk, który autorowi podobało się dorysować do obrazu. P. *Królikowski* grał ślepego bohatyra z takim zapałem, taką prawdą, że — szczerze to mówimy — do łez poruszał. To najlepsza pochwała, jaką dać można artyście dramatycznemu. P. *Delchau* garbusa grał naturalnie i z humorem. Pani *Bendowa* grała żonę ślepego, jak zwykle, to jest — po swojemu; z dodatkiem jednego jeszcze lubego zwyczaju, który sobie przyswoiła, i który nieraz już zauważaliśmy, t. j. że na scenie w czasie gry zjada jakieś przykąski, co roli niepomaga, a publiczności ubliża. Mniemamy, że mając już tak niewstrzymany apetyt, należy go albo przed przedstawieniem zaspokoić, albo powstrzymać do końca przedstawienia. Że takie ruszanie ust jedzących nie jest ani estetyczne, ani przyzwoite, to przecie każdy przyzna.

I jeszcze jeden koncert p. Hausera mieliśmy. O grze tego artysty daliśmy już zdanie nasze, nie dodamy więc tym razem nic innego nad to chyba, że dziś nam wcale muzyka obca do serca nie przypada, i że mimo całej gościnności naszej, musimy szczerze wyznać, jako jesteśmy zanadto goli, byśmy z ochotą tylekrotnie obcego artystę widywali. Część znaczna publiczności dzieliła nasze zdanie, bo pierwsze numera koncertu mianowicie z wielkim przyjmowała chłodem; dopiero ostatnie sztuki rozegrzały ją częściowo. Publiczność polska jeżeli chodzi dziś do teatru, czyni to dla sceny narodowej, którą utrzymywać uważa słusznie za obowiązek narodowy; o mniej lub więcej zgrabne trele nie chodzi jej wcale. I tym razem zeszła się dość licznie dla dodanego do koncertu polskiego przedstawienia, co jak zauważaliśmy, wielu chciało jawnie wykazać, wychodząc z teatru w czasie gry skrzypcowej. Przedstawiano *Żydzi Korzeniowskiego*, komedyę dobrze i dawno znaną, której zakończenie schlebiające arystokratycznym przesądom, i dumie arystokratycznej, wydało się dziś jeszcze większym, śmieszniejszym i głupszym anachronizmem, niż kiedykolwiek. Odznaczyli się w grze p. *Królikowski* i panna *Biedrońska*, którą pominąwszy oddanie roli *księżniczki* pełne prawdy i serdeczności, zdybały przy samem wyjściu rzęsiste oklaski, witające ulubioną artystkę, którą niewiemy dla czego przez przeszło dwa tygodnie omijano na repertuarze naszym. P. *Delchau* grał dwie role, komisarza, i żyda Arona; obie oddał wcale dobrze. Pani *Bendowa* dowiodła prawdziwej stałości charakteru, bo znowu, jak zwykle, roli nieumiała. Podnieść się jeszcze godzi żywą grę pani *Krajewskiej* jako *Szynionowej*, p. *Baranowskiego* w roli krzykliwego szlachcica, i p. *Dembickiego*, który charakterystycznie oddał żydka przy kontuarze. P. *Wisłocki* oddał *Prezesa* bardzo naturalnie, bo z pojęciem dobrem charakteru, jaki miał odegrać.

Niebieskie rękawiczki.

(Powiastka jakich wiele).

(Ciąg dalszy).

* *
*

Potem całe trzy dni nie było pięknego *vis-á-vis* przy oknie. Czwartego dnia pod wieczór ciemne czarne chmury zaczęły zawisać nad ziemią. Antoś stał ciągle na swojem stanowisku.... Naprzeciw błysła różowa sukienka a przecudna twarzyczka okolona ślicznemi bląd loczkami, jak święta złocistemi rameczkami, zjawiła się między kwiatami. I... jak przed trzema dniami, wyciągnęła rączkę, zrobiła chusteczką koło w powietrzu, a rzuciwszy całuska w powietrze—a to najwyraźniej w kierunku Antosia—zniknęła...

Pod Antosiem nogi się zachwiały.... ale nie upadł, wrażenie drugim razem już było słabsze... przyszedł po chwili do siebie.

— Więc ja jej nawet ręką nie kiwnąłem — mówił do siebie, chodząc szybko po pokoju — tak nawet ręką nie kiwnąłem, a ona mnie tak poczciwie kocha, daje tego niezaprzeczone dowody, mój anioł jedyny, toć zrobiła koło chustką w powietrzu, i rzuciła całusa w powietrze, toć jasne jak dzień... kocha mnie... o kocha namiętnie... a ja — dodał, stanąwszy w tragicznej postawie, z podniesioną lewicą, a prawicą uderzywszy się w piersi — ja stanę się godnym tej miłości.

Pobiegł do okna. Coraz gęstsze i czarniejsze chmury zalegały firmament. Śliczna twarzyczka błysła między wazonikami, rączka wysunęła się za okno, i coś białego upadło na podwórzec. W tej samej chwili zerwał się gwałtowny wicher, wszystkie okna zaskrzypiały w zawiasach, a kurz wirem wzniósł się do góry..... Piękna *vis-à-vis* przestraszona, zamyka nagle okno i nieszczęście — wazonik z śliczną różyczką zleciał z okna na kamienie, i potłukł sią w drobne kawałeczki.

Antoś lotem błyskawicy rzucił się do drzwi a w kilka sekund był już na dole pod oknem pięknej *vis-à-vis*. Biała karteczka upuszczona przed chwilą była już w jego kieszeni.

Deszcz lunął jak z cebra...

Antoś porywał za różę, gdy jakiś głos nieznajomy odezwał mu się nad głową tuż koło niego:

— Panie! to nie pański wazonik!...

— Ale i nie pański, tylko tej pani, co tu w tem oknie mieszka.

— To też właśnie zostaw go pan, ja już zabiorę...

— O nie panie, ja zabiorę!... — i wziąwszy różę pobiegł uszczęśliwiony i do nitki zmoczony Antoś na górę do swojej stancyjki.

Na karteczce były napisane te słowa: „Strzelecki ogród, koło strzelnicy, o godzinie siódmej w niedzielę.“

— Więc za trzy dni...

Antoś udał się do spoczynku. Nawalnica coraz więcej się srożyła. Błyskawice nadziemskiem światłem oświecały na chwilę ziemię, aby ją jeszcze w większą ciemność pogrążyć. Grzmoty, zdawało się, że z posad odwiecznych ziemię wyrzucą, wiatr bił deszczem o szyby... a rzewne tony wiolenczeli pomimo tego doszły ucha Antosia i drugi raz ukołysały go w sen złoty.

(C. d. n.)

Sprostowanie:

W Nrze 3cim, str. 23, szp. 1szej, wierszu 18 od góry począwszy, zamiast: *potykania*, czytaj wszędzie: *sykania*.

Nr 1wszy naszego pisma wyczerpany, powtórzenia druku wymaga.

Do tego Nru dołączamy tytuł i spis rzeczy do ostatniego rocznika.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.